Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 30 | Warszawa, Niedziela, 16 sierpnia 1936 r. | Rok I

DAWID CONTRA GOLJAT

Sensacyjny zatarg por. Kopińskiego z Prezesem P.K.O. Dr. Henrykiem Gruberem

Niewątpliwie jedną z najpopularniejszych postaci naszego życia powojennego jest p. Henryk Gruber, prezes Pocztowej Kasy Oszczędności, wybitny finansista, hojny filantrop, ongiś żołnierz legjonowy dzisiaj potentat, jednem skinieniem dłoni rozpalający w całej Rzeczypospolitej, a także poza jej granicami, wszędzie tam, gdzie szerokim strumieniem płynęła polska emigracja, więc we Francji, Ameryce Północnej i Południowej, czy Palestynie, neonowe błyski magicznych słów: pewność i zaufanie.

CZŁOWIEK BEZ SKAZY

Wieloletnia praca p. Grubera na tak zdecydowanie odpowiedzialnem i ważnem dla rozwoju młodego państwa stanowisku, zdobyła dlań nietylko szacunek społeczeństwa, ale także najgłębsze przeświadczenie, że człowiek, kierujący tak olbrzymią i zasobną instytucją jest bezwzględnie człowiekiem bez skazy.

Fakt, że p. Henryk Gruber był żołnierzem Legjonów, że w Wojsku Polskiem dosłużył się szarży kapitana i jest dekorowany szeregiem zaszczytnych odznaczeń, przeświadczenie to gruntował jeszcze bardziej, do momentu, kiedy oto przeciwko p. Gruberowi wystąpił skromny szary człowiek, p. Stanisław Kopiński, również legjonista i również oficer rezerwy, ale w życiu pokojowem „tylko" niższy urzędnik biura wypowiedzeń Wydziału Oszczędnościowego w tejże P. K. O., której powszechnie znanym i cenionym prezesem jest właśnie p. Henryk Gruber.

PORUCZNIK PRZECIW KAPITANOWI

Zatarg między porucznikiem rezerwy, inwalidą wojennym Stanisławem Kopińskim, a kapitanem rezerwy Henrykiem Gruberem, bo raczej na płaszczyźnie oficerskich stopni obydwu wyżej wymienionych, sprawę tę należy, zdaniem naszem rozpatrywać, jest tak niezwykły, a jednocześnie tak znamienny dla naszych stosunków, że zrelacjonujemy go naszym Czytelnikom możliwie jaknajobjektywniej, wierząc, że wyciągnięcie tej sprawy na forum publiczne, przyczyni się do wyjaśnienia pewnych, dla nas niezrozumiałych mroków i zagadek, a także być może przyczyni się w następstwie do zlikwidowania przykrego zatargu między obydwu oficerami rezerwy na drodze dla podobnych zatargów przewidzianej.

STARTER NA KONKURSACH

Prolog niezwykłego zatargu sięga maja 1929 roku, kiedy to do skromnego urzędnika P.K.O. p. Stanisława Kopińskiego, wówczas pozostającego w IX stopniu służbowym, zwróciło się Towarzystwo Międzynarodowych i Krajowych Zawodów Konnych w Polsce, powierzając mu, wzorem lat ubiegłych funkcję startera na III Międzynarodowych Zawodach Konnych w Łazienkach. Zawody te miały rozpocząć się 30-go maja, a zakończyć 12 czerwca. Tu godzi się nadmienić, że por. Kopiński jest jednym z nielicznych fachowców - starterów i współpraca z nim była dla Tow. Międzynarodowych Zawodów Konnych b. cenna.

PROŚBA O URLOP

Doceniając należycie fakt ten, a także propagandowe znaczenie zawodów, por. Kopiński zwrócił się do swych przełożonych z prośbą o przyznanie mu 12-dniowego urlopu, przyczem warto zaznaczyć, że w okresie tym por. Kopiński znajdował się w P. K. O. na przeszkoleniu i technicznie nic nie stało na przeszkodzie aby urlop taki został mu udzielony.

W takiem przeświadczeniu utrwaliła por. Kopińskiego odpowiedź jednego ze zwierzchników, który w dn. 11 maja 1929 r. zakomunikował por. Kopińskiemu, że władze P.K.O. doceniając rolę Międzynarodowych Konkursów Hipicznych w propagandzie państwowości polskiej i ważność pracy por. Kopińskiego w III Międzynarodowych Zawodach Konnych, nie mają zamiaru przeszkadzać w wypełnianiu obywatelskiego obowiązku, przeto sprawę urlopu od dn. 30-go maja do dn. 12 czerwca 1929 r. załatwiły przychylnie, a jedynie jako formalność, zwierzchnik ten (p. dr. St. Wyżykowski) doradził porucz. Kopińskiemu, aby napisał podanie, co też por. Kopiński zrobił, podanie to, doręczając swemu bezpośredniemu przełożonemu, a jednocześnie zawiadamiając Komisję Techniczną Zawodów, że we właściwym terminie przystąpi do pracy.

ODMOWA

Jakież było zdumienie por. Kopińskiego, kiedy w cztery dni potem w biurze przedstawiono mu pismo dyrektora administracyjnego P. K. O., który komunikował, że podanie urzędnika Kopińskiego o urlop 12-dniowy zostało załatwione... odmownie.

Jak przystało na gentlemana, a jednocześnie subordynowanego pracownika, por. Kopiński o fakcie tym zawiadamia kierownictwo Zawodów, zrzekając się stanowiska startera. Kierownictwo zrzeczenia tego nie przyjmuje, zapowiadając por. Kopińskiemu, że w tej sprawie zostanie wysłane do P.K.O. specjalne pismo.

Chcąc uniknąć żenujących go interwencyj osób postronnych, por. Kopiński uzyskuje audjencję u dyrektora, administracyjnego P. K. O. p. Jarockiego, który jednakże poleca podwładnemu zreferować całą sprawę naczelnikowi Wydziału Ogólnego p. dr. Gawlikowi, co też Kopiński uczynił.

DYREKTOR WYJECHAŁ

W przeddzień otwarcia Zawodów, por. Kopiński dowiaduje się, że dyr. Jarocki wyjechał na urlop, nie zostawiając dr. Gawlikowi żadnych decyzyj co do zmiany swego postanowienia w sprawie Kopińskiego.

I znów nieszczęsny urzędnik P.K.O. zwraca się do kierownictwa Zawodów, prosząc o zwolnienie go z obowiązków startera, bowiem P. K. O. nie chce mu dać urlopu. Znów spotyka się z odpowiedzią odmowną, przyczem komunikują mu, że w sprawie jego urlopu zwróci się do prezesa P.K.O., p. Henryka Grubera, jako kapitana rezerwy, delegacja oficerów i urlop napewno wyjedna.

ZGODA PREZESA GRUBERA

W dniu rozpoczęcia Zawodów, por. Kopiński dowiedział się od majora dypl. Kułakowskiego, że po osobistej rozmowie majora z prezesem Gruberem, ten ostatni obiecał przychylnie załatwić sprawę urlopu, swego urzędnika. Nie mając już najmniejszych wątpliwości i uspokojony słowami prezesa P. K. O., oficera rezerwy dr. Henryka Grubera, por. Kopiński po powrocie do domu w dn. 7 czerwca znalazł list, donoszący mu o natychmiastowem zwolnieniu z pracy za: „samowolne porzucenie służby". List był podpisany przez prezesa P.K.O. p. Henryka Grubera.

Łatwo się domyśleć, że list ten dla por. Kopińskiego był prawdziwym piorunem z jasnego nieba. Jest to o tyle zrozumiałe, że miał on prawo przypuszczać, iż słowa p. Grubera, wypowiedziane do mjr. Marjana Kułakowskiego były słowami wiążącemi.

TRAGICZNA DOLA

I oto rozpoczyna się niezwykła, a wręcz tragiczna dola porucznika-legjonisty, wojennego inwalidy i exurzędnika P. K. O. Stanisława Kopińskiego. Gwoli bezstronności zgóry stwierdzamy, że opierając się na materjałach sądowych z procesu, jaki w tej przykrej sprawie w swoim czasie rozegrał się, znakomicie zdajemy sobie sprawę z tego, że por. Kopiński jest człowiekiem mocno przewrażliwionym, ale przewrażliwienie to stanie się zupełnie zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę sposób traktowania tego żołnierza, który ma za sobą piękną kartę bojową, a który wpadł w stokroć od frontowego ognia gorszy młyn bezdusznej biurokracji i najróżniejszych gierek czy ambicyjek.

BEZSKUTECZNE WYSIŁKI

Ten fakt wiele tłumaczy, nie trzeba również zapominać o konsekwencjach, jakie na por. Kopińskiego spadły prawie bezpośrednio po dyscyplinarnem zwolnieniu. Konsekwencje te, to... eksmisja z nieopłaconego mieszkania, to ciężka choroba żony, to wreszcie silne podrażnienie psychiczne, wywołane tem, że wszelkie usiłowania por. Kopińskiego, zmierzające do tego, aby osobiście porozumieć się z kap. Gruberem — spełzły na niczem. Na niczem również spełzło pismo w tej sprawie Tow. Międzynarodowych Zawodów Konnych. Prez. Gruber nie zaprzeczając coprawda, że rozmawiał w sprawie Kopińskiego z mjr. Kułakowskim, zaznaczył jednak, że nie rozmawiał w P.K.O., a na... towarzyskiem zebraniu.

LISTY POR. KOPIŃSKIEGO

Będąc przeświadczony, że cała sprawa polega na jakiemś tragicznem nieporozumieniu, a nie mogąc go wyjaśnić osobiście, widząc jednocześnie, że mu się z godziny na godzinę usuwa grunt spod nóg, że razem z rodziną popada w najskrajniejszą nędzę, bowiem nikt nie chce dać pracy człowiekowi dyscyplinarnie zwolnionemu z P.K.O., por. Kopiński postanawia zwrócić się do prezesa Grubera listownie.

Tu się zaczyna drugi etap tragedji por. Kopińskiego. Etap ten, spowodu braku miejsca naświetlimy w następnym numerze.

Argus.

DEMASKUJEMY

Komitet antyhitlerowski

Nareszcie udało nam się po wielu trudach i perypetjach, odsłonić rąbek tajemnicy, okrywającej ów *osławiony „komitet antyhitlerowski"*.

Okazuje się, że na czele tej szajki terrorystycznej, nie posługującej się żadnemi względami ideowemi, a tylko argumentami szantażowemi w postaci brzęczącej monety i nie uznającej żadnych zasad „fair-play", ani też żadnej władzy, znajdują się *Marek Turkow i Kemnitzer.*

Pierwszy z nich, to znany dziennikarz żargonowy, brat aktorów Zygmunta i Jonasa Turkowów, o drugim nic bliższego niewiadomo, ponad to, że w bezczelny sposób nagabuje ludzi po kawiarniach, uważając siebie za *dyktatora ideowego ruchu antyhitlerowskiego.*

Z „delikwentami" umawia się zawsze sam na sam, aby potem nie mieć niewygodnych świadków. Żadne argumenty rzeczowe nie przemawiają do jego rozumu. Wymaga dowodów zupełnie niemożliwych i *szarga opinją obywateli żydowskich* w samowolny i bezprzykładny sposób.

F.

PACYFIZM A POLSKA

Byliśmy, jesteśmy i będziemy Rzeczypospolitą Żołnierzy

Tej barjery Europa nie przeskoczy! Raczej łeb o nią rozwali sobie, ale jej nie przeskoczy!

Bo już zadużo energji nagromadziło się — energji, naporu której żadne ściany, zrobione z najgrubszej stali nie wytrzymają i wcześniej, czy później rozsadzone zostaną.

„PACYFIKACJA" EUROPY

Albowiem żadna energja, według wszelkich praw fizycznych, dotąd w przestworzach nigdy nie rozpływaża się i nigdy się nie rozpłynie. Ona musi się wyładować, a im większe masy tej energji nagromadzone zostaną, tem wybuch jej gwałtowniejszy i silniejszy być musi.

Wysiłki tchórzliwej dyplomacji, zmierzającej do rozbrojenia i pacyfikacji Europy, wydały rezultaty odwrotnie proporcjonalne do tychże wysiłków, o czem nasi domorośli pacyfiści całkowicie zapomnieli. Jedni zapomnieli przez swoją całkowitą i beznadziejną głupotę,

zaś innym za robienie pacyfizmu w Polsce... zapłacono.

TRZY OBOZY

W powojennym chaosie większe mocarstwa Europy podzieliły się na trzy obozy: pierwszy — uzbrojony od stóp do głów, a do niego wchodzą

Rosja, Niemcy, Włochy—kraje którym nic nie zagraża,

po ziemie których nikt nie sięga i na ich podbój nikt się nie wybiera. — A jednak kraje te nagromadziły taką masę potencjału wojennego, jakiego świat na przestrzeni swoich dziejów nie widział. Kraje te usiłują wmówić w opinję świata, że czynią to gwoli zabezpieczenia... własnej niepodległości.

Drugi obóz, to państwa, wymijające zręcznie rafy koralowe, między które zagnała je współczesna burza dziejowa, kraje, których zda się jedynym celem jest poprzez te rafy przebrnąć i wydostać się na pełne morze.

Typowym przykładem—Anglja.

I wreszcie trzeci obóz, to kraje, podobne do strusia, który ukrywszy głowę w piasku, sądzi, że jego cieiska na powierzchni ziemi nie widać.

Trudno o bardziej klasyczny pod tym względem przykład,

aniżeli Francja!

Cóż tedy Polska ma czynić w tym potwornym młynie, rzucona przez zły los między dwa kotły parowe, całe rozdygotane i rozdyszane od gromadzonej energji?

BROŃ DO LAMUSA?

A może ma przetopić lufy armat na... szyny kolejowe, a bagnety swej piechoty na... misterne pilniki dla pań do piłowania paznokci — jak to Polsce doradzają płatni i niepłatni pacyfiści?

Pod mur za taką radę, jako za zbrodnię stanu — bo to jest zbrodnia stanu. Polska rozbroić się nie może, *bo Polska musi być najeżona bagnetami, a na rozstajach dróg muszą błyszczeć stalowe lufy armat—armat ciągle i bez przerwy nabitych, a przy nich muszą stać kanonierzy z zapalonemi lontami, gotowi każdej chwili do strzału.*

Taka bowiem jest nasza sytuacja, takie są nakazy dla nas obecnej chwili, bo tylko w ten sposób Polska może ostać się przy życiu, bo wreszcie

tak kazał Wielki Marszałek i tego żąda Jego spadkobierca, Naczelny Wódz Armii,

strażniczki „tragicznej wolności", wyrąbanej szablą polskiego ułana, wydartej poprostu pazurami śmiertelnie znużonego piechura.

CZY WYSTARCZĄ DZIAŁA I BAGNETY?

Ale... czy same armaty i bagnety wystarczą? Czy magazynowane w arsenałach, same nas obronią?

A więc... cóż jeszcze?

Mobilizacja ducha, moralne pogotowie bojowe całego narodu i wreszcie dowództwo, wpatrzone w zwycięstwo, jako w jedyny cel swego życia — oto nieodzowne współczynniki pewnej wygranej w czasie krwawych zapasów o prawo do życia i wolności.

I jeszcze jedno: żeby się ostać przy życiu, nie wystarczy mały, defetystyczny, narodowo-demokratyczny patrjotyzm.

Do bytu i rozwoju Państwa potrzeba czegoś więcej: twardej, jak stal wiary we własne siły, tak twardej, że aż bijącej w oczy

oraz zdecydowanych tendencyj ekspansywnych w szerokiem tego słowa znaczeniu

i wreszcie uporu w realizowaniu tych tendencyj.

CHOROBA NARODOWA

Zamiast dominowania tego ostatniego czynnika, nasze życie publiczne znamionował nieprzerwany od chwili odzyskania Niepodległości defetyzm.

Chyba żaden naród nie malował swojego życia w tak czarnych barwach, jak myśmy to robili. Pod tym względem uzyskaliśmy niewątpliwie palmę pierwszeństwa.

Tego twierdzenia nie należy oczywiście rozumieć, jako chęci ukrywania złych stron naszego życia „pod korcem", lecz w ten sposób, że jeśli się coś neguje, to na to miejsce, natychmiast trzeba dać coś pozytywnego. — Tylko takie działanie można nazwać twórczem. W przeciwnym razie, nieuchronnie grozi wyjałowienie, nader niebezpieczne zjawisko w życiu narodu.

A negacja stała się niestety jakąś zaklętą formułą we wszystkich naszych poczynaniach.

Po wieczne czasy pouczającym, a zarazem tragicznym przykładem dla następnych pokoleń będzie

życie Józefa Piłsudskiego

któremu poprzez wszystkie drogi, jakiemi szedł do Wielkiej Polski, towarzyszyła złośliwa, cuchnąca zgnilizna, negacja. — Musiał walczyć z nią w pierwszych latach swych poczynań rewolucyjnych, spotykał ją przyczajoną w okresie tworzenia przyszłych kadr Wojska Polskiego, trawił swoją niespożytą energję w walce z nią, tak straszliwie panoszącą się w N.K.N. poto, aby *ten polip rozrósł się do potwornych rozmiarów po zdobyciu Niepodległości i aby nasza narodowa choroba towarzyszyła Mu już do końca życia.*

Każdy wysiłek Wielkiego Człowieka, zmierzający do wydźwignięcia Polski z bagniska małostkowości, anarchji i prywaty, był zażarcie w imię „patrjotyzmu" w sposób bezprzykładnie podły zwalczany.

„PATRJOCI" PRZEJRZELI!

I trzeba było dopiero śmierci, trzeba było do nadludzkiego wysiłku całego życia, dodać jeszcze w ofierze samego siebie, aby „patrjoci" przetarli oczy i raczyli uznać Jego wielkie zasługi i tę nieśmiertelną prawdę,

że Polska byłaby dziś niczem, dosłownie niczem, gdyby nie Jego trud i nie Jego dla Polski bezgranicznie poświęcenie.

Czyście, to wszystko panowie dobrze obliczyli?

I czyście, co najważniejsze, z tego wszystkiego wyciągnęli właściwe wnioski?

Do tego kiedyś wrócimy — narazie jeszcze zawcześnie, jeszcze zamało danych do charakteryzowania niejako drugiego etapu „tragicznej wolności".

SPADKOBIERCA

Ten drugi etap już się rozpoczął, bo do zmagania się ze złym losem Polski wziął się

następca Wielkiego Marszałka, Jego spadkobierca i zarazem Jego najlepszy żołnierz, obecny Wódz Narodu i Armji, generał Śmigły-Rydz

i na swoje barki wziął ciężar nadludzki.

Zaczął śladami swego Poprzednika od zwrócenia uwagi na zagadnienie obrony i na samym początku swej pracy do swych towarzyszy broni z okresu bohaterskich walk legjonowych powiedział:

„Gdybyśmy uważali, że Polska może liczyć tylko na nas, mając trzydzieści kilka miljonów obywateli, to świadczyłoby to tragicznie o Polsce".

Z tego oświadczenia widać, że Naczelny Wódz wierzy w zdrowy instynkt samozachowawczy całego Narodu i że właśnie ten instynkt podyktuje temu Narodowi jedyną, bo innej niema, drogę: że stanie w jednym, zwartym szeregu do obrony Państwa, nie w pojęciu defenzywnym, lecz ofenzywnym, bo tylko taka obrona może być skuteczna.

My wierzymy w to niezłomnie, a także w to, że jedyną, nienaruszoną *naszą wartością olbrzymią i naszą ostatnią deską ratunku jest Armja i Jej Naczelny Wódz.*

Są jednakże pewne symptomaty, świadczące o błąkaniu się po różnych partyjnych zakamarkach staroszlacheckich nałogów.

Oto typowy szlachcić-malkontent, jakich jeszcze pełno we współczesnej Polsce, p. Niedziałkowski, naczelny redaktor i publicysta „Robotnika", nie zwykle sympatyczny jako człowiek, zachwycał się tem, że jakaś francuska panienka w dniu święta narodowego Francji podarowała defilującemu na czele oddziału, oficerowi bukiet czerwonych kwiatów, a w fakcie tym, zresztą słusznie, widzi wielką miłość narodu francuskiego do armji oraz wielką, wzajemną, duchową więź, jaka łączy te dwa czynniki.

Ale tenże sam pan Niedziałkowski nie znalazł ani jednego wyrazu potępienia dla swych partyjnych towarzyszy,

którzy w dniu 1 maja na placu Józefa Piłsudskiego, na widok polskich eskadr samolotów zamiast kwiatów pokazali wzniesione do góry... ściśnięte pięście. — A potem zaczęli gwizdać!

Wprawdzie tę ohydną scenę zapoczątkowali nie Polacy, ale działo się to w szeregach Polskiej Partji Socjalistycznej, mającej za sobą piękne karty w historji walk o Niepodległość Polski.

Co za tragiczna symbolika faktów!

Na placu Józefa Piłsudskiego, twórcy nowej armji i naszej Niepodległości, przeciwko tej armji, która krwawiła w walkach o wolność ośmielano się podnieść zbrudzone judaszowemi srebrnikami łapy! — Pacyfizm? Nie, podłość, którą nielatwo przyjdzie nam wyplenić, bo jest to podłość, za którą... zapłacono. *W.*

MĄDRY POLAK...

Jak to było z Oficerskim Yacht Klubem

Wytykając różne niewspółmierności naszego życia, tygodnik „Świat" słusznie wyciąga na światło dzienne sprawę Oficerskiego Yacht Klubu, który rozłożył się jak wszystkim wiadomo

na trasie przyszłego reprezentacyjnego bulwaru

nadwiślańskiego, lub jeśli kto woli: wisłostrady.

Pisząc o tem, „Świat" dziwi się bardzo, że: „w całej prasie nie czytaliśmy na ten temat ani jednego słowa krytyki... Co na to polscy urbaniści?"

Dla nas osobiście zrozumiałe jest milczenie prasy i urbanistów, bo wszelkie lamenty i krytyki masywnego, betonowego budynku Klubu, byłyby tą przysłowiową, a tak w Polsce ulubioną...

musztardą po obiedzie.

Skórę bykowcem powinno zarżnąć się temu panu, który zaakceptował wystawienie budynku Oficerskiego Yacht Klubu na terenie, który dla pierwszego lepszego laika był od lat wymarzonem miejscem dla przeprowadzenia nadrzecznych bulwarów. A przecież pan, akceptujący projekt budowy Klubu

nie był chyba laikiem, a fachowcem.

I oto ten fachowiec, najprawdopodobniej szanowany i odpowiednio opłacany pan, akceptuje plany budowli, która siłą rzeczy w bliższej lub dalszej przyszłości musiałaby stać się zawaligrodą dla racjonalnych planów rozbudowy stolicy.

Oczywiście, wspomniany „fachowiec" dzisiaj może wykręcać się sianem i twierdzić, że budynek Klubu miał być prowizoryczny. No, ale znów laikom jest wiadomo, że prowizorycznych budynków

z betonu się nie lepi...

Więc?

Więc, poprostu jakiś słodki cuduś zaakceptował, ludzie zainteresowani budynek wystawili, a dzisiaj... lamentuje się, że trzeba wisłostradę wykrzywiać, przeprowadzać po za budynkiem i t. d. Słowem — Polak znów okazał się mędrcem po... szkodzie.

Reasumując, trochę niepoważnie prezentują się ataki na Oficerski Yacht Klub, boć przecież budynku tego nie wystawiono cichcem, nocą, na cudzych gruntach, bez pozwolenia władz. Nic podobnego. Wszystkie formalności zostały załatwione. Budynek, ładny czy brzydki, nie nasza to rzecz, stoi i prawdopodobnie długo jeszcze stać będzie, a kierownictwo Klubu możnaby doprawdy posądzić o lekkomyślność, gdyby dzisiaj,

po legalnem zainwestowaniu wielkich kapitałów, zgodziło się na... zburzenie gmachu przeszkadzającego... wisłostradzie.

Jeśli burzyć, to tego cudusia, który przed paru laty zgodził się na wystawienie siedziby Klubu właśnie w tem miejscu.

(f).

A JEDNAK COŚ TAM CUCHNIE...

Na marginesie sprawy L.O.P.P. contra Miguła

W jednym z Sądów Grodzkich odbywał się proces Leona Miguły, oskarżonego o szantażowanie L.O.P.P., właściwie — jednego z pracowników tej instytucji, p. Stanisława Radelickiego.

Przez cały przewód procesu, mówiło się o jakichś groźnych, oszczerczych rzekomo materjałach, któremi Miguła miał szantażować, a nikomu na myśl nie wpadło, żeby temi materjałami zainteresować się, żeby poprostu zobaczyć, przejrzeć, odczytać, a następnie zbadać — te wszystkie straszne rzeczy, któremi Miguła naraził sią wymiarowi sprawiedliwości.

Bo sytuacja jest taka: szantażuje Miguła L.O.P.P. czy Radelickiego, którzy powiadają, że miota się na nich oszczerstwa, i sprawę kierują do sądu, który wymierza Migule sprawiedliwość za szantaż. Ale co się dzieje z zarzutem oszczerstwa na L.O.P.P. czy Radelickiego, czy skarżą oni Migułę jeszcze o to, że również w materjałach, przy pomocy których chciał ich szantażować, dopuścił się oszkalowania L.O.P.P. bądź Radelickiego? O tem nie słyszeliśmy, tak, jak wogóle, nie sposób się dowiedzieć, czy ktoś robi praktyczny użytek z materjałów, zebranych przez Migułę.

A szkoda. Coś niecoś się mówi o tem w Warszawie, szczególnie w branży szmacianej. Trzeba bowiem wiedzieć, że kiedyś istniał, a może jeszcze istnieje przy L.O.P.P. t. zw. referat skupu nieużytków, który zajmował się skupywaniem szmat po instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych (wojskowych), samorządowych i prywatnych. Referatem tym kierował p. Stanisław Radelicki, kierował z ul. Wierzbowej, gdzie, jak wiadomo, mieści się Zarząd Główny L. O. P. P. Kilkanaście domów dalej, na ul. Senatorskiej pod 6, tenże sam p. Radelicki handlował szmatami z tąże samą L. O. P. P., jako współwłaściciel Centrali Skupu Szmat pod firmą St. Radelicki i S-ka. Słowem — p. St. Radelicki z Wierzbowej, jako L.O.P.P., handlował z p. St. Radelickim, jako właścicielem firmy na ul. Senatorskiej...

Pardon — nie właścicielem, a współwłaścicielem, znajdującym się w ordynarnem towarzystwie żydów pośledniego gatunku, kryminalnie notowanych i karanych.

Sprawy te były głośne, chociaż nigdy nie mogły dotrzeć do prasy. Zajmował się niemi nawet Urząd Śledczy, zdaje się, że p. aspirant Ciesielczuk. Niestety, ze śledztwem szło jakoś opornie. Jakieś niezbadane siły utrudniały je, tak, że nie wiemy, jak się zakończyło. Coprawda, bywało b. ciekawie, bo dochodziło nawet do tego, że w sprawie Centrali p. St. Radelickiego i referatu skupu nieużytków przy L.O.P.P., kierowanego również przez p. St. Radelickiego zatrzymywano ludzi, którzy skarżyli się na działalność tego pana wraz z jego referatem, a nawet interwenjowały organizacje kupieckie.

Któregoś dnia Centrala p. St. Radelickiego z ul. Senatorskiej gwałtownie zniknęła, natomiast we wspaniałym lokalu przy Nowym Świecie róg Pierackiego ukazał się wielki magazyn mebli tegoż p. St. Radelickiego, który nagle okazał się wielkim filantropem, gotowym do poświęceń, z czem się zaczął reklamować na łamach jednego z pism warszawskich, tego samego, które w swoim czasie zamieściło dość interesujący artykuł o skupie makulatury przez L.O.P.P., ściślej mówiąc — przez p. St. Radelickiego, jako kierownika referatu skupu nieużytków...

Rzuciliśmy tu kilka fragmentów z działalności p. Radelickiego, aby się ktoś niemi zainteresował. Ze swej strony pragnęlibyśmy wiedzieć:

1) jakiego pochodzenia jest majątek do którego doszedł p. St. Radelicki?

2) czy uczciwem było prowadzenie przez p. St. Radelickiego jednocześnie skupu nieużytków w imieniu L.O.P.P. oraz w imieniu własnem firmy z ul. Senatorskiej, i czy można było tolerować istnienie takiego stanu rzeczy?

3) zgadzamy się z twierdzeniem L.O.P.P., że nieużytki przyniosły jej sporo wpływów, ale czy wpływy te nie byłyby większe, gdyby rzecz była inaczej zorganizowana?

4) z jakiego tytułu p. St. Radelicki pobierał, a może nawet pobiera jeszcze, prowizję od wszystkich ogłoszeń akwirowanych do „Lotu Polskiego“, chociaż on tych ogłoszeń nie akwiruje, i co znaczy powiedzenie o p. St. Radelickim, że on miał nadzór nad ogłoszeniami, skoro sprawy ogłoszeniowe należą do administracji, w danym razie — „Lotu Polskiego“?

5) ile wynosiły zarobki p. St. Radelickiego w L.O.P.P. wraz z prowizjami, dodatkami i t. p. ruchomemi formami wynagrodzenia?

6) czy właściciel składu mebli p. St. Radelicki pracuje nadal w L.O P.P.?

Moglibyśmy postawić wiele jeszcze pytań, ale te są najważniejsze, bo uczciwa na nie odpowiedź Pana Prezesa L. O. P. P. Generała L. Berbeckiego we właściwem świetle przedstawi stosunki, na których chciano erować.

A pozatem: zachęcamy gorąco kogo należy do poznania materjałów, któremi dysponował Miguła. Bo jeśli materjały te były tylko oszczercze i tylko zmierzały do zdyskredytowania zasłużonej instytucji i pracujących w niej ludzi, to Leon Migała zasługuje na jaknajsurowsze ukaranie. Ale jeżeli jest inaczej, to wydaje nam się, że żaden autorytet nie będzie w stanie „zatuszować“ skandalu w instytucji, która jest słusznie pupilem całego społeczeństwa.

Alfa.

POLSKIE RADJO NADAJE!

Tantalowe męki przy głośniku

Skwapliwie notując wszystkie cienie i blaski Polskiego Radja, nie możemy pominąć milczeniem nowych kwiatuszków, świadczących o bezhołowiu panującem w tej sympatycznej, tak

dziarsko przez p. Starzyńskiego sterowanej instytucji.

W ubiegłą niedzielę Polskie Radjo, najwidoczniej doceniając upodobanie słuchaczy, którzy śmiertelnie znękani ponuremi brechtami, ochoczo garną się do lekkiej muzyczki, zaryzykowało transmisję „podwieczorku przy basenie w Ciechocinku“.

Kto był tym złym duchem, który namówił znakomitych fachowców z ul. Mazowieckiej do tej koszmarnej transmisji, wie zapewne tylko p. Sosnowska, faktem jest, że

podobnego kryminału

od sławetnej transmisji z Hotelu Europejskiego nie było.

Pomijamy już fakt fatalnego ustawienia mikrofonów, wokół których zgromadzili się raczej nie ciechocińscy kuracjusze, a mieszkańcy... warszawskiego ogrodu zoologicznego, rozwrzeszczani, pobekujący i „tryskający“ kryminalnemi dowcipami. Nie to byłoby najgorsze. Prawdziwą tragedją

były same „występki”

jakichś bardzo prowincjonalnych gwiazdorów z p. Obarską na czele.

Sympatyczna aktorka bezskutecznie usiłowała śpiewać francuskie piosenki albańskim akcentem, partner jej piał coś niezdecydowanie, a całość uzupełniała niezbyt tęga, przynajmniej w transmisji radjowej orkiestra.

Jeśli dodamy do tego wręcz morderczą konferansjerkę bliżej nam nieznanego p. Busiakiewicza, który

sypał dowcipami kalendarzowemi

i nie bez słuszności nazywał siebie optymistą, otrzymamy bardzo smutny obraz niedzielnego „podwieczorku“, tak smutny, że warto byłoby nad nim zapłakać, a przy okazji zerżnąć skórę tym, którzy pozwolili na występy Jerzego Czaplickiego tam, gdzie popisuje się „artysta“ Malwano...

„Podwieczorek“ z Ciechocinka nie był jednak odosobniony. Zaraz po nim mieliśmy przykrość wysłuchać dla odmiany transmisji z Bielan. Nie chce nam się obszerniej ten kryminał omawiać, ale

był on tak denerwujący,

że kilkakrotnie dzwoniliśmy do Pol. Radja, aby błagać o przerwanie tej w wysokim stopniu kompromitującej szmiry.

Niestety, w znakomicie urządzonej instytucji, która może się nawet poszczycić nielada dziwolągiem, bo... biurem studjów, którego kierownik p. Łydziatowicz od czasu do czasu poucza płacących 3 zł. miesięcznie słuchaczy

jak należy z pokorą i radością przyjmować audycje radjowe,

w tejże instytucji brak jakiegoś rozgarniętego człeczyny, któryby przyjmował istotne czy nie istotne, ale słuszne w każdym wypadku reklamacje, maltretowanych radjosłuchaczy.

Po tantalowych mękach obydwu, wyżej wymienionych transmisyj, miłą niespodzianką był dla nas przegląd polityczny

ciekawie zmontowany i bardzo dobrze odczytany przez p. red. Władysława Bestermana.

Również z uznaniem należy podkreślić doskonale przeprowadzone reportaże z meczów berlińskich Polska—Węgry i Polska—Anglja. Nie przypominamy sobie w tej chwili nazwiska radjo-reportera, ale zasłużył on sobie

na szczere uznanie wszystkich radjosłuchaczy.

emka.

Dziwne koncesje

Polskiej Spółki Filmowej

Na czele „Polskiej Spółki Filmowej“ znajduje się, jak wiadomo dyrektor Zygmunt Chamiec. Zdawałoby się, że taka indywidualność, jak

były naczelny dyrektor Banku Polskiego i Polskiego Radja,

doskonale sama da sobie radę. Okazuje się jednak niestety, że Polską Spółkę Filmową nie rządzi „prawowity“ władca, ale człowiek „branży“ p. Kazimierz Stefan Popławski, przesiąknięty metodami, które przejął w czasie długoletniej pracy w amerykańskim Paramouncie. Decydujący i kategoryczny głos we wszystkich sprawach

ma właśnie pan Popławski,

który powoduje się niestety zbyt często intencjami typowo „branżowemi“.

Aby twierdzenia nasze nie były gołosłowne, przytoczymy pewien fakt, jaki miał miejsce niedawno, a którego bohaterowie są znani naszej Redakcji. Do pana Kazimierza Popławskiego, jako do kierownika działu wynajmu Polskiej Spółki Filmowej, zwrócił się niedawno pewien

znany i ceniony agent filmowy,

który pragnął wziąć eksploatację filmów Polskiej Spółki Filmowej na teren swego województwa. Jakież musiało być jego zdumienie, kiedy p. Popławski odpowiedział mu, że prawdopodobnie nie będzie mógł mu powierzyć swoich filmów, ponieważ posiada

pewne zobowiązania moralne

wobec jego konkurenta na jego terenie. Pikanterję tego faktu potęguje jeszcze to, że ów agent, wobec którego p. Popławski ma zobowiązania moralne, jest żydem, przedstawicielem Paramountu, a ten, który się zgłosił jest chrześcijaninem! A „branża“ mówi, że Polska Spółka uprawia metody rasistowskie!!

Nasuwa się w związku z tem tylko jedno pytanie. Czy pan dyrektor Chamiec zaangażował pana Popławskiego do

sprawowania swego urzędu zgodnie z interesem firmy,

czy też do tego, aby pan Popławski regulował swoje zobowiązania moralne wobec wszystkich żydów branży?

(S.)

Rozetsztein, nie bądźcie dzieckiem...

Z tymi żulikami niełatwa sprawa!

Romantyk XX wieku.

Tak można śmiało nazwać p. Aleksandra Rozetszteina agenta ubezpieczeniowego, który dąży do oczyszczenia swego zawodu z kryminalnych elementów.

Ruszył w bój obrawszy sobie za hasło swej walki słowa Wielkiego Marszałka:

— „W dzieciństwie mem szeptano mi w uszy tak zwane mądre przysłowia: "Nie dmuchaj pod wiatr — głową muru nie przebijesz — nie porywaj się z motyką na słońce". Doszedłem później do tego, że silna wola, energja i zapał mogą te właśnie zasady złamać. Potrzeba nam ludzi, którzy potrafią tej starej mądrości tych przysłów się przeciwstawić".

Ten dziwny człowiek, zamiast iść ręka w rękę z „branżą", postanowił bronić honoru i godności zawodu agenta ubezpieczeniowego.

Walkę swą z kryminalną działalnością „kolegów" rozpoczął zarówno rozsyłaniem komunikatów do prasy, jak i odpowiedniemi staraniami w Państwowym Urzędzie Kontroli Ubezpieczeń.

Jak każdego romantyka, jak każdego głosiciela nowych idei, spotyka p. Rozetszteina zwykły los: *uważają go za warjata,* uważają, że właśnie on swą działalnością szkodzi sprawie ubezpieczeń w Polsce.

Gdyby tego rodzaju opinję ogłaszali ludzie postronni, a zatem ci, którzy nic z ubezpieczeniami mieć wspólnego nie chcą i nie mają, lub też ci osobnicy, których p. Rozetsztein piętnuje, wszystko byłoby mniej więcej normalne.

Źle jest jednak, że do *ideologicznej działalności tego człowieka,* odnoszą się w podobny sposób i ci ludzie, którzy powinni przedewszystkiem *stać na straży honoru zawodu* i uczciwego wykonywania przepisów ubezpieczeniowych.

Uprawniony do stania na straży godności zawodu agenta ubezpieczeniowego, Związek agentów ubezpieczeniowych, w odpowiedzi na akcję p. Rozetszteina, skreśla go z listy członków.

P. Rozetsztein skarży Związek o niesłuszne skreślenie z listy członków, pozbawienie pracy, terror, fałszerstwa, oszustwa, działalność na szkodę członków Związku, szerzenie i popieranie demoralizacji, faworyzowanie osób publicznie napiętnowanych, prosi też Komisarjat Rządu m. Warszawy o lustrację w tej organizacji.

Pierwsze dochodzenie w sprawie skargi przeprowadza wicestarosta *Zieniewicz i potwierdza wszystkie* zarzuty. Druga jednak lustracja przeprowadzona przez inspektora Langa, uznała zarzuty za bezpodstawne.

Dlaczego?

P. Rozetsztein nie wie, ani dlaczego po pierwszej lustracji wyznaczono drugą, ani dlaczego druga uznała zarzuty za bezpodstawne. Inspektor Lang nie przesłuchiwał go.

Do akcji p. Rozetszteina odnoszą się również nieprzychylnie i kierownicy towarzystw ubezpieczeniowych. Np. naczelny dyrektor Tow. ubezpieczeń „Przyszłość" p. A. Krieger na jednej z rozpraw sądowych tak oświadczył:

„...Rozensztein opowiadał, że prowadzi jakąś akcję, że dąży do oczyszczenia Związku zawodowego agentów ubezpieczeniowych z elementów nieuczciwych. Ja mu oświadczyłem, że to są mrzonki, że on zostanie w tej akcji sam".

Ba! Nawet osoba urzędowa, która powinna przedewszystkiem dołożyć wszelkich starań do uporządkowania „branży" ubezpieczeniowej, naczelnik wydziału Państwowego Urzędu kontroli Ubezpieczeń p. Szymański, oświadcza:

„...Ostrzegam pana przed informowaniem prasy o nadużyciach w ubezpieczeniach, inaczej my wystąpimy przeciwko panu".

A następnie:

„Dla rozwoju interesów gospodarki ubezpieczeniowej akcja prasowa i metody postępowania p. Rozetszteina były wybitnie szkodliwe".

„Pożytek" z rozwoju gospodarki ubezpieczeniowej w Polsce *staje pod znakiem zapytania* w świetle rozmowy p. Rozetszteina z dyrektorem „Riunione" p. J. Borgenem:

— Jak pan może zatrudniać takiego agenta, przecież on kompromituje zawód, kompromituje Towarzystwo?

— Jest nam potrzebny, *jest bardzo sprytny.*

— Ale przecież to się może kiedyś urwać, przecież może kiedyś ten agent dostać się do więzienia?

— No i cóż, będzie dla nas akwirował i w więzieniu.

Rozmowa ta dotyczyła agenta „Riunione" niejakiego Seweryna Rotbauma, juniora, odznaczającego się niezwykłą w obecnych czasach płodnością akwizycyjną.

Sekret powodzenia Rotbauma jest następujący. Do klijenta przynosi Rotbaum jakiś album z poleceniami dyrektorów swego Towarzystwa, opowiada, że jest „kuzynem dyrektora Deutscha", dzięki temu *może wyrobić specjalnie dogodne warunki dla klijenta.* Może go zatem ubezpieczyć taniej, nawet darmo, a pozatem *klijent otrzyma od Towarzystwa prezenty,* począwszy od złotych zegarków do... prezerwatyw. Wreszcie Tow. za pośrednictwem Rotbauma, udzieli klijentowi większej pożyczki.

Ludzie wierzyli, ubezpieczali się i płacili do momentu, gdy poszli odebrać „podarek" złoty zegarek, czy pożyczkę...

Jesteśmy zdania, że tego rodzaju działalność jest szkodliwa. Wbrew zdaniu p. Szymańskiego, podobny *„rozwój gospodarki ubezpieczeniowej" trzeba raz wreszcie skierować na racjonalne tory.*

Zwłaszcza, że z bogatej skarbnicy materjałów p. Rozensztaina wydobywamy jeszcze jedną perełkę.

„...w dniu 7 czerwca 1935 r. Zjednoczenie Tow. ubezpieczeń na życie, działających w Polsce, powzięło uchwałę obniżenia prowizji agentom od ubezpieczeń, zawartych w złotych w złocie...

Uchwała powyższa ma na celu jak największe rozpowszechnienie ubezpieczeń, zawieranych w złotych zwykłych i skierowanie akwizycyj w tym kierunku...

...Tem samem ubezpieczenia w złotych w złocie mogłyby być zawierane tylko w tych wypadkach, gdyby poszczególni ubezpieczający się bezwarunkowo tego żądali".

Tej treści okólnik *otrzymali agenci jednego zagranicznego Towarzystwa ubezpieczeń,* działającego w Polsce przy pomocy olbrzymiej reklamy.

P. Rozetsztein dowodzi, że sens tego okólnika jest jasny: *„Gra na dewaluację złotego!"* I my mamy wrażenie, że ten romantyk prawdy się nie myli.

„Wiem Wszystko" poruszało już parokrotnie sprawy zabagnionych stosunków w ubezpieczeniach, i niewątpliwie jeszcze nie raz do nich powróci.

Romantyka prawdy, samotnego Don Kichota, trzeba poprzeć w jego walce z mafją nieuczciwych agentów.

Czas najwyższy, aby *władze miarodajne wniknęły w te miłe stosuneczki,* zapoznały się dobrze z kulisami działalności różnych Wizdholców, Tschinklów, Schejnów, Malców, Calelów „poruczników" Kukszów.

Rozwój gospodarki ubezpieczeniowej nie ucierpi z pewnością od akcji prasowej, jak się tego obawia p. naczelnik Szymański, *ale tylko i to wyłącznie od działalności nieuczciwych agentów.*

Dopóki zwykły obywatel będzie się odnosił do agenta ubezpieczeniowego, jak do oszusta, który chce go nabrać, dotąd niema mowy o racjonalnych podstawach ubezpieczeń w Polsce.

Sprawę ubezpieczeń trzeba skierować na zdrowe tory, stworzyć im odpowiednie podłoże moralne.

Patrząc przez palce na sprawki różnych aferzystów, którzy opanowali tę dziedzinę, podłoża tego się nie stworzy.

Ten.

Spelunka w Hotelu Europejskim

Nareszcie władze likwidują karciane „campingi"

Bez przesady powiedzieć można, że w obecnej chwili Warszawa jest najbardziej rozhazardowanem miastem Europy. Niezliczona liczba potajemnych, półoficjalnych i oficjalnych szulerni i jaskiń hazardu ściąga co noc tysiące żądnych gry ofiar. Szulerzy dorabiają się wielkich pieniędzy, a nie jedno samobójstwo i defraudacja znajduje swoje źródło w zakonspirowanych salonach melin karciarskich lub rulet.

SALON W „EUROPIE"

Rozpiętość przytem jeżeli chodzi o kategorje tych instytucji jest olbrzymia, poczynając od ukrytych w zakątkach melin; kończąc na najwytworniejszych salonach korzystających z oficjalnych koncesyj, w danym wypadku chodzi nam właśnie o taki salon mieszczący się w gmachu Hotelu Europejskiego.

Na drzwiach jednego z gabinetów hotelowych widnieje skromny szyldzik „Towarzystwo Campingowe Olimpia". Gdyby ciekawy chciał bliżej dowiedzieć się, na czem polega „campingowa" działalność tej instytucji i zapytałby o to kogokolwiek z szefów zakładu, nie otrzymałby odpowiedzi. Zaskoczony „dyrektor" campingowego towarzystwa znalazłby się w sytuacji nader kłopotliwej.

KARCIANE CAMPINGI

Campingi olimpijskie kończą się bowiem przy zielonych stolikach w tymże salonie ustawionych, ewentualnie... na podróży w wieczność ofiar namiętności, ale wtedy już nie chodzi o camping ale o podróż bez powrotu z padołu łez.

Towarzystwo campingowe Olimpia, na czele którego stoi znany kombinator teatralny pan Gabay posiadało koncesję na prowadzenie salonu bridżowego. Koncesyj takich w Warszawie jest dwie.

Dawniej było więcej, ale po wykryciu przed trzema laty przez policję szeregu afer na terenie salonów bridżowych, wszystkie cofnięto i dopiero po wielkich staraniach udzielono dwie.

Jaki jest zakres działania campingowej szulerni?

Otóż wiadomem jest, że tam odbywa się najgrubsza gra w Warszawie w bridża.

BOGATA PUBLICZKA

Kierownicy instytucji żerują przedewszystkiem na tem, że mają swój salon w hotelu Europejskim, dokąd zjeżdża najbogatsza publiczność nie tylko z Polski. Hotelowa publiczność, trochę frajerów z forsą i grupa zawodowców, oto wytworne towarzystwo wytwornego salonu campingowego.

Rezultaty przy bridżu są tam bagatelne... Naprzykład zdarzyło się niedawno, że pewien obywatel ziemski przegrał 18.000 złotych w jedną noc. Ale bridż nie wyczerpuje repertuaru zakładu campingowego pana Gabaya. Trudno określić ile jest prawdy w pogłoskach, ale wiele się mówi i o grach innego rodzaju, na które już koncesja nie rozciąga się, a gdzie rezultaty, sięgają dziesiątek tysięcy złotych.

BACZNOŚĆ, POLICJA!

Ostatnio działalnością Olimpji zainteresowały się władze. Zbyt głośny stał się skandal z oficjalną grajcarnią, rozwijającą groźną działalność w cieniu zezwolenia władz i pod wysokiemi auspicjami hotelu księcia Czetwertyńskiego. Koncesja została cofnięta. Słychać, że w związku z tem, książe postanowił pozbyć się niebezpiecznej instytucji, która może mu sprowadzić do hotelu policję. Pan Gabay musi zlikwidować swój kramik. Oby uczynił to jaknajprędzej bo przecież tak czy inaczej władze położą kres działalności tych niemoralnych ognisk zakonspirowanego hazardu.

„Wielki szlem".

Tydzień ubiegły

Na jednym z procesów w tygodniu ub. prezes poważnej instytucji społecznej, oświadczył, że kandydata na posadę w tej instytucji nie przyjął, bowiem uprzednio zasięgnął o nim opinji w... II-im Oddziale.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w chwili obecnej, w okresie tak ostrych i tak bezwzględnych walk o kawałek chleba, chleb ten przedewszystkiem winien być przyznawany ludziom najgodniejszym, najuczciwszym. Polska, nad którą coraz groźniej ciąży ponury cień niezbyt czystych rąk, dosłownie żelazną miotłą winna wymieść te wszystkie elementy, które niepokojący cień tworzą. Zrozumiałe też jest, że instytucja społeczna, dość silnie związana z niezwykle ważnym problemem obrony Państwa, zanim wpuści w swe podwoje nowego człowieka, stara się możliwie jaknajdoskonalej prześwietlić go, zbadać czy na hipotece tego człowieka niema ciemnych plam.

Że, aby uzyskać jaknajlepsze rezultaty, zwraca się do II-go Oddziału Sztabu Głównego, to nas także nie dziwi, boć wiemy dobrze, że niesposób jest aby każda instytucja społeczna czy niespołeczna, utrzymywała specjalne biuro wywiadowcze, a poza tem i zakres działalności wspomnianej instytucji, zazębiający się, jak powiedzieliśmy o zagadnieniu obrony państwa i absolutna bezstronność i rzeczowość informacyj II-go Oddziału, tam właśnie kierują kroki tych, którzy w trosce o dobór ludzi czystych rąk, szukają uczciwych informacyj.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby p. prezes nie uważał za wskazane przed forum sądowem na opinję II-go Oddziału powoływać się.

Wydaje nam się bowiem, że specjalny rodzaj pracy tej instytucji, wyjątkowo wysoki ciężar gatunkowy zadań powierzonych II-mu Oddziałowi Sztabu, wreszcie może pozornie niewidzialna, a przecież w istocie rzeczy, olbrzymia powaga tej komórki naszej Armji, niezbyt pasują do... sali sądu grodzkiego i do błahej w gruncie rzeczy sprawinki wykolejonego biedaka, rzekomego szantażysty.

To jeden moment. Drugi jest niemniej w naszem pojęciu istotny. Oto szary, bądź kolorowy, jak kto woli, człowiek, czytając sprawozdania sądowe z powyższej sprawy, nietylko kreuje wykolejeńca na conajmniej... zdrajcę stanu, który za pazuchą nosił do ambasady ościennego mocarstwa tajne dokumenty, ale, i to przedewszystkiem denerwuje się, stwarzając w ten sposób idealny klimat dla wszelkiego rodzaju kanalji, żerującej na wielkiej i odpowiedzialnej pracy naszej „Dwójki" (patrz nr. 5 „Wiem Wszystko").

Jesteśmy głęboko przeświadczeni, że nasz II-gi Oddział Sztabu Głównego zarówno dzięki specjalnemu doborowi ludzi, jak i bezwzględnej ideowości, jest instytucją posiadającą najlepsze, najbardziej „murowane" materjały i informacje, ale wiemy jednocześnie, że ci wszyscy, których bądź kiedyś poza ramy II-go Oddziału usunięto, bądź też bezprawnie za pracowników tej instytucji podający się, t y l k o c z e k a j ą w ł a ś n i e n a t a k ą g r a t k ę, jak publiczne oświadczenie, że II-gi Oddział wydawał swą opinję i to opinję ujemną o prywatnym człowieku.

Takie oświadczenie jest znakomitem zapoczątkowaniem kantu, który nieraz przeradza się w wielką aferę, a jeszcze częściej w wielką tragedję. I z tych względów właśnie wydaje nam się, że słowa pana prezesa nie były specjalnie szczęśliwe, tem bardziej, że wypowiedział je człowiek znakomicie zorjentowany w moralnym ciężarze gatunkowym naszego Intelligence Service.

Ignis

OSOBISTE

W dniu dzisiejszym rozpoczął 6-tygodniowy urlop wypoczynkowy Kierownik naszego pisma red. Włodzimierz Popławski.

Czyżby naprawdę?...

...Jeden z dygnitarzy, przebywający w celach „surowego życia" w Juracie, pragnąc dla siebie i swych towarzyszy godziwej rozrywki, telefonicznie zamówił z Ciechocinka na jeden wieczór, koncertujący w temże uzdrowisku, a składający się z 7 osób zespół Golda? Po zespół przysłano z Juraty do Ciechocinka dwa automobile.

*

...rozłam w Polskiej Partji Radykalnej nastąpił tylko dlatego, że Centrala P.P.R. zażądała od zarządu okręgu samorządowego wyliczenia się z wpływów z kolportażu pism i broszur, składek i t. p. W odpowiedzi na ten list zarząd okręgu samorządowego P.P.R. założył nową partję pod nazwą: „Polska Partja Radykalna — lewica". Pretensje Centrali P.P.R. do zarządu okręgu samorządowego mają sięgać kilku tysięcy złotych.

*

...p. Mazaraki, nowy dyrektor Opery warszawskiej wyjechał do Włoch, głównie dla zaangażowania dla naszej sceny reprezentacyjnej włoskich kapelmistrzów? Ośmielamy się przypomnieć p. dyrektorowi, że mieszka w Ameryce znakomity kapelmistrz polski Rodziński, który w godziwych warunkach napewno zdecydowałby się pracować w kraju.

*

...w okresie, kiedy wszystko uległo potanieniu, nie można było obniżyć jedynie cen zapałek? Wszakże w okresie najlepszej konjunktury pudełko zapałek kosztowało 8 gr., a dopiero później cenę tę „wyrównano" do 10 gr. i taka pozostała po dziś dzień, aczkolwiek wiadomo wszystkim, że staniały w międzyczasie zarówno surowiec, jak i robocizna.

*

...w Polsce rozpoczął się okres „prosperity"? Oto pewien senator kupuje dla swej przyjaciółki u znanego futrzarza warszawskiego wspaniałe sorti gronostajowe. Oto młody, a ryży arystokrata budzi w lokalach dancingowych podziw rachunkami sięgającemi 2—3 tysięcy złotych, a znany przemysłowiec warszawski, przegrywa w klubie bridżowym w „Europie", w ciągu jednej nocy"... 6,500 zł. Kryzys minął!

*

...na walnem zgromadzeniu akcjonarjuszy jednego z wielkich towarzystw akcyjnych doszło do ostrego starcia między prezesem i wiceprezesem wspomnianego towarzystwa? Znieważony przez vice prezesa prezes, reprezentant jednego z najświetniejszych polskich rodów magnackich, opuniejszych polskich rodów magnackich, opu-

ANONIMOWI LUDZIE WISŁY
POBILI REKORD GŁUPOTY

Mamy do zanotowania nowe, sensacyjne wyczyny „kretynów filmowych", którzy zajmują się w niektórych wytwórniach tak zwaną propagandą. Wszelki rekord głupoty pobił

referent prasowy osławionej firmy „Legja-Film",

ogłoszeniem, wydrukowanem w ostatnich numerach pism branżowych.

Warto dla tego jednego ogłoszenia wydać 50 groszy, słowo daję. Na samym wstępie dowiadujemy się, że „najbardziej rewelacyjnym debiutem w dziejach kinematografji polskiej jest debiut WISŁY, królowej polskich rzek, w filmie „Ludzie Wisły". Być może... Ale czytajmy dalej. Następuje wyliczenie artystów. Po każdem nazwisku czytamy oryginalne pochwały. Dowiadujemy się naprzykład, że

Ina Benita,

to „symbol powodzenia, gwiazda wielu filmów", a

Jerzy Jur-Pichelski,

to „najurodziwszy aktor Teatru Polskiego w Warszawie". Czy Państwo znają niejakiego pana

Marjana Trojana?

Nie? A szkoda, bo okazuje się, że to „świetny aktor komedjowy z Teatru Polskiego i Narodowego w Warszawie, bezkonkurencyjny odtwórca mocnych i zdrowych typów chłopskich!!"

A taka

Hanna Zawadzka,

to poprostu „młoda i piękna gwiazda"! A

Jadwiga Renée,

to najciekawsza z „młodych twarzy"!

Nic dziwnego, że przy takiej genjalnej obsadzie szef reklamy „Legji" twierdzi dalej, że: „Ludzie Wisły" pokażą, na jaki poziom winien wznieść się film polski, aby stać się wreszcie godnym kultury polskiej"!!!

Kiedyż nareszcie reklama filmowa stanie się godna kultury polskiej??!!

(L.).

Podpalacze w dyplomatycznych rękawiczkach
„Wozrożdenje" i my o roli Kominternu

Paryski organ emigracji rosyjskiej „Wozrożdenje" zamieścił w Nr. 4038 z dn. 8 sierpnia r. b. sensacyjny artykuł, demaskujący zakulisowe machinacje dyplomacji sowieckiej, która, zależnie od potrzeby i okoliczności, już to działa oficjalnie już to, jako narzędzie Kominternu, podziemnie, stając się sprawcą wielu pierwszorzednych i brzemiennych w skutki wydarzeń europejskich.

Bardzo trafnie charakteryzuje „Wozrożdenje", pozycję dyplomacji sowieckiej czynnej na terenach państw burżuazyjnych.

„Rząd sowiecki — pisze „Wozrożdenje" — prowadzi swoją własną politykę międzynarodową, nie mającą nic wspólnego z takąże polityką innych państw. Dyplomacja sowiecka w zasadzie i optycznie niczem nie różniąca się od innych dyplomacyj, powierzchownie niczem szczególnem nie zwraca na siebie uwagi. Ale trzeba ją oceniać wedle tego, c o r o b i w H i s z p a n j i, a co wcześniej uczyniła we Francji. O wydarzeniach hiszpańskich nie może być już dziś dwuch zdań. Dla wszystkich jest jasnem, że bunt generałów hiszpańskich jest reakcją zdrowych sił narodu, które przeciwstawiły się próbom Kominternu wprowadzenia do Hiszpanji ustroju sowieckiego ze wszystkiemi jego następstwami. To są właśnie owoce dyplomacji sowieckiej".

Oczywiście, jeżeli takich rzeczy mogła dokonać dyplomacja czerwona, to jedynie naskutek swego nieprawdopodobnego, uprzywilejowanego stanowiska, jakie zajmuje ona w rzędzie państw europejskich.

„Wozrożdenje" trafnie pisze, że: „rząd sowiecki potrafił wykorzystać wszystkie międzynarodowe prawa i tradycje, żeby z nich, uczynić narzędzie przeciw tymże samym państwom i społeczeństwom burżuazyjnym, które te prawa i tradycje stworzyły. Pod pokrywką e k s t e r y t o r j a l n o ś c i p o s e l s t w i n i e t y k a l n o ś c i d y p l o m a t y c z n e j, rząd sowiecki prowadzi politykę kominternowską wszelkiemi dopuszczalnemi i niedopuszczalnemi środkami — legalnie i podziemnie. Pod pokrywką ustawodawstw państw burżuazyjnych na przedpolach Europy coraz bardziej i energiczniej Komintern realizuje swe cele. I wytworzyła się taka sytuacja, że burżuazyjne rządy, parlamenty, uniwersytety, banki, burżuazyjna prasa weszły w stosunki z przedstawicielami Kominternu, i nie widzą, nie podejrzewają tego, że wśród nich skutecznie pracują i obracają wodę na swój młyn ciż sami agenci Kominternu".

Tak snuje swoje refleksje i spostrzeżenia „Wozrożdenje", nie wahając się nazwać każdego poselstwa, każdego przedstawicielstwa handlowego i każdej innej dyplomatycznej, konsularnej czy handlowej placówki sowieckiej — s i e d l i s k i e m n a j z a w z i ę t s z e j p r o p a g a n d y k o m i n t e r n o w s k i e j, kuźnią skąd wybuchają na świat wszelkie brzemienne w skutki wydarzenia, przypisywane przez naiwnych wszystkim, tylko nie tym, którzy je wywołali — czerwonym dyplomatom, kierowanym przez moskiewski Komintern. Zwraca wreszcie wspomniany dziennik uwagę, na fakt, że przecież zabójca prezydenta Francji Doumera, Gorgułow, był agentem bolszewickim...

Otóż, tego rodzaju „rewelacje" mogą być rewelacyjne w Paryżu, u nas natomiast sprawy te są aż nadto dobrze znane, aby wywołały posmak sensacji. Już kilka tygodnia temu zapoczątkowując cykl artykułów p.t. „Ludzie Z.S.R.R.", WIEM WSZYSTKO szczegółowo naświetliło o s o b ę d y p l o m a t y s o w i e c k i e g o, p. H e l f a n d a, radcy Polpredstwa w Rzymie, b. sekretarza Polpredstwa w Paryżu, tego samego właśnie, który ongi wsławił się uczestnictwem w „tajemniczem" zaginięciu gen. Kutiepowa, Pan ten siedzi w dyplomacji poto, aby właśnie, korzystając z jej wszystkich przywilejów, jej wszelkich eksterytorjalności, nietykalności i t. p. udogodnień burżuazyjnych — tem energicznej i niewidocznej prowadzić robotę zleconą mu przez Komintern, szczególnie robotę wśród państw bałkańskich.

Gdyby państwa europejskie, które wierzą w dobrą wolę dyplomacji czerwonej i jej lojalność w stosunku do prawideł gry europejskiej, zechciały zerwać z zakłamaniem i spojrzeć na tę kolorową dyplomację jej własnemi szkiełkami, wtedy przekonały by się, że Europę podpalają nie jakieś samorzutne, takie czy inne ruchy masowe, lecz że dynamit pod nią podkłada dawny żydek z Perejasławia gubernji połtawskiej, właśnie ów p. Helfand, i jemu podobni, bronieni przez paszporty dyplomatyczne, wraz z temi wszystkiemi przywilejami, jakie one dają.

wp.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„MIŁOSNE WALCE" (Wielka Operetka).

Nowy spektakl teatru przy ul. Karowej odznacza się wszystkiemi walorami straussowskiej roboty. Jest przy tem, jeśli idzie o dwie tytułowe role, nader szczęśliwie obsadzony. Trudno bowiem o bardziej fascynującą i pełną wdzięku artystkę, niż jest nią Nina Grudzińska, a i p. Korolkiewicz sprawił nam b. miłą niespodziankę. W epizodycznej roli zdystansował resztę zespołu niezawodny Redo, obok którego bawili nas Szczepański, Szpingier, Orzechowska i Wędrychowska, przy tem te dwie ostatnie niebardzo potrafiły przekonać nas o swem arystokratycznem pochodzeniu. Wręcz koszmarna jest falanga „dziubasów", pętających się po scenie. „Dziubasom" tym jest równie „nie do twarzy" we frakach, jak i w mundurach... rosyjskich huzarów grodzieńskich.

Barwnem uzupełnieniem operetki były zręcznie przez Pianowskiego wmontowane wstawki baletowe, na których czoło oczywiście wybijały się ewolucje takich niezawodnych asów naszego baletu, jak Karczmarewicz, Kaniewska, Nowicka, Cywiński. Z Nobisówną nie należy przesadzać, a uzupełnienie miłego duetu Krzekotowska-Dobiecki... pingwinem, przebranym za tancerkę, jest złośliwą lekkomyślnością. Ewolucje akrobatyczne Maliny Michalskiej zyskałyby wiele, gdyby dyrekcja podchodziła do nich mniej barbarzyńsko i zdecydowała się sprawić tancerce kawałek wojłoku czy chociażby jakiś dywanik...

Fatalne kostjumy raziły jeszcze bardziej na tle prosto, a kulturalnie i efektownie rozwiązanych przez p. Kurmana dekoracji. Strauss przebrany za Nawrota dość niemrawo przywodził orkiestrze, co nie przeszkadza, że spektakl jest wcale, wcale.

Wik.

„SERCA ZE STALI" (kino „Stylowy"). Odrazu małe zastrzeżenie: „Serca ze stali", to tytuł, nie mający nic wspólnego z treścią filmu i nic wspólnego z dawnym filmem niemym Miltona Sillsa. Pomimo to film jest bardzo ciekawy i dobry. Należy do kategorji filmów, stworzonej ongiś przez Cecila B. de Mille'a, jak „Bezbożne Dziewczę" i „Bunt Młodych". Obraz reżysera Archie Mayo nie pozbawiony jest interesujących akcentów społecznych, odsłaniających nam życie amerykańskiej młodzieży. Film jest wartościowy, dzięki swoim problemom, inteligentnej reżyserji i dobrej grze Jamesa Cogney. Natomiast Madge Evans ma piękny profil. Na tem kończą się jej walory.

„UCIECZKA" (kino „Roma"). Film niemiecki „Ucieczka" apoteozuje, a w każdym razie chce apoteozować siłę woli, wyższość człowieka białego nad kolorowym i wogóle ideologję hitlerowską. Niestety nie udaje się to, z powodu nierównej i często niedostatecznej realizacji Gustawa Ucickyego, który dał nam szereg pierwszorzędnych epizodów obok szeregu innych scen, wręcz naiwnych i dziecinnych (uciekinierzy schronili się do dworca kolejowego, naokoło którego wciąż patroluje nieprzyjaciel, uciekinierzy kłócą się ze sobą, wrzeszczą w niebogłosy, a tamci nic nie słyszą!). Drugą poważną wadą tego filmu jest obsada. Hans Albers, jak zwykle, do niczego. Urocza Kathe von Nagy absolutnie nie nadaje się do powierzonej jej roli, a co do reszty, to reżyser Ucicky dokazał bądź co bądź wielkiej sztuki: takich doskonałych aktorów, jak Eugen Klöpfer czy Ida Wüst potrafił całkowicie zniweczyć. A że do tego temat filmu jest wybitnie ponury, radzimy abstynencję.

„KAPRYS MARKIZY POMPADOUR" (kino „Casino"). Film ten — produkcji wiedeńskiej — który walczy bohatersko z wyczynami łobuzerskiego i szantażowego komitetu antyhitlerowskiego, stanowi rehabilitację pięknej Kathe von Nagy po „Ucieczce". Wprawdzie nie jest ona wymarzonym typem Madame de Pompadour, ale potrafiła tyle wdzięku włożyć w swoją kreację, że chętnie jej wybaczamy braki fizyczne. Czynimy to tem chętniej, że film ten jest lekką komedją, osnutą na tle romansu faworyty królewskiej z malarzem Boucher, a nie pretenduje do roli „filmu historycznego". Przytem zachowano skrupulatnie styl epoki, zarówno w dekoracjach, jak i w kostjumach i w muzyce.

Do zalet filmu należą jeszcze kreacje Otto Tresslera w roli Ludwika XV i Leo Slezaka, zawsze niezawodnego, w roli właściciela knajpy artystycznej. Do wad filmu, reżyserowanego przez Willy Gentner-Schmidta należy zbyt powolne w niektórych miejscach tempo i dość bezbarwna sylweta Willy Eichbargera. Naogół film jest miły i stanowi dobrą rozrywkę.

Prawdziwą bezczelnością jest reklamonie na afiszu Olgi Czechowej, podczas gdy w niewidocznym prawie epizodziku występuje jej córka — Ada Czechowa.

„1000 TAKTÓW MIŁOŚCI" I „DŻENTELMEN KOCHA INACZEJ" (kino „Atlantic"). Kino „Atlantic" pospołu z wytwórnią Warner pobiło niesamowity rekord; wybrano do programu dwa najgorsze „kryminały", jakie wogóle udało się nam oglądać na warszawskich ekranach w ciągu ostatnich miesięcy. Pierwszy film jest zbiorem wulgarnych, idjotycznych i wprost nieludzkich błazeństw z Ruby Keeler na czele, zakończonym rewją niezbyt pomysłową i niezbyt estetyczną, a drugi film, to beznadziejny kicz o akcji nudnej i wlokącej się w nieskończoność, granej bez najmniejszego przekonania przez brzydką Barbarę Stanwyck i niezdarnego (w tym filmie) Gene Raymonda.

Rozpisywanie się dłużej nad temi „arcydziełami" byłoby poprostu obrazą dla naszych Czytelników.

X. 27.

Sensacyjna umowa gospodarcza

Naskutek pertraktacyj, prowadzonych od dłuższego czasu przez dyr. dyr. Grodzickiego i Surzyckiego ze Związku Polskich Hut Żelaznych, doszło do zawarcia niezwykle sensacyjnej umowy gospodarczej. Mianowicie, słynny amerykański koncern Mellona (b. Ministra Skarbu Stanów Zjednoczonych A. P.), posiadający światowy patent na fabrykację żelaza nierdzewnego „Arnco", zawarł umowę ze sferami polskiemi na produkcję tego żelaza w Polsce.

Fakt ten jest doniosłego znaczenia gospodarczego i finansowego. Gospodarczego, bo żelazo nierdzewne, które przecież da się z łatwością produkować w kraju, zastąpi szereg innych surowców metalowych, które dotychczas musieliśmy sprowadzać z zagranicy, finansowego zaś dlatego, że w myśl umowy z Mellonem, cała sprawa została tak przeprowadzona, iż kwoty należne koncernowi Mellona z tytułu użytkowania jego patentu pozostaną w kraju.

Szczególne znaczenie będzie miało zastosowanie żelaza nierdzewnego „Arnco" w produkcji naszego zaopatrzenia uzbrojeniowego, bo pozwoli ono, w pewnych koniecznościach, uniezależnić się od dostaw surowców zagranicznych.

Jak się dowiadujemy, produkcję żelaza nierdzewnego „Arnco" rozpocznie w najbliższych dniach Huta Pokoju, która jak wiadomo, wchodzi w skład koncernu Wspólnoty Interesów.

(N.)

Plajta „Polskiej Akustyki"

Komiwojażer — dyrektorem, to przesada...

Kilka tygodni temu zlikwidowano ostatecznie przedsiębiorstwo filmowe pod nazwą „Polska Akustyka", zajmujące się dubbingowaniem filmów zagranicznych. Placówka taka niewątpliwie

miałaby u nas rację bytu,

gdyby była prowadzona przez ludzi nadających się do tego rodzaju zajęcia. W „Polskiej Akustyce" inwestowane były dość poważne kapitały, należące do firmy „Teofil Glocer". Bardzo ładnie, ale kierownictwo całej firmy powierzono niejakiemu panu Leonowi Grossingerowi, byłemu

kiepskiemu „reiseinderowi" Marconiego.

Zupełnie zrozumiałe, że pod tak wytrawnem, fachowem i inteligentnem kierownictwem firma pana Glocera musiała się załamać.

Historja „Polskiej Akustyki" jest jeszcze jednym dowodem, jak bardzo nieodpowiedni ludzie mogą niweczyć dobrze pomyślane dzieła. Jeszcze warto wspomnieć o tem, że kierownikiem działu wynajmu „Polskiej Akustyki" był pan Marceli (?) Herszfinkiel, jedna z najśmieszniejszych figur w branży filmowej. Ten sam pan Herszfinkiel

był ongiś właścicielem biura filmowego „Heros",

które doprowadził skutecznie do bankructwa. Niema co, doskonale wybrał sobie współpracowników dyrektor Glocer! Może będzie miał nauczkę na przyszłość. Na stanowisko dyrektora placówki bądź co bądź artystycznej nie angażuje się komiwojażera!

(L.).

Łączka kretynów

„Dobry Wieczór" w nr. 218 przynosi następującą notatkę:

„BERLIN, 7-8. — Tel. wł. — Kallay, najlepszy gracz reprezentacji amatorskiej Węgier i środkowy napastnik Ujpesti dostał wczoraj ataku szału. Pogotowie ratunkowe zawiozło go karetką do szpitala dla nerwowo chorych.

Atak był wynikiem bezsilnej wściekłości spowodu porażki z Polską".

A kto to mówił, że: „Węgier — Polak dwa bratanki?"

* * *

Znów zmuszeni jesteśmy cytować „Mały Dziennik" z Niepokalanowa. W nr. 218 w rubryce: „Czy wiecie, że..." znajdujemy taką oto wiadomość:

„W miejscowości Alberta, w Stanach Zjednoczonych istnieje owad, zwany Grylloblatte, który może żyć jedynie w temperaturze zero stopni. Owad ten żyje insektami zamrożonemi".

Co za przemyślny naród, ci Amerykanie. Nawet swoje gryllobIatte karmią pchłami i pluskwami, uprzednio zamrożonemi w frigydairach. To się nazywa postęp...

* * *

W powieści E. M. Szermentowskiego „Karjerowicz" publikowanej na łamach „Gońca Warszawskiego" w nr. 216 czytamy:

„Kocham panią... jeżeli Swedenborg ma rację, to pani jest dla mnie tą pokietą, którą każdy mężczyzna raz tylko jeden spotyka na swej drodze".

Czy mógłby nam Pan, kochany Panie E. M. S. wskazać adres takiej właśnie „pokiety"? Sekretarz redakcji „Wiem Wszystko" jest wielki kat na... płeć, a nuż „pokieta" podoba mu się bardziej niż zwykła dziewczynka.

* * *

Jeszcze raz „Mały Dziennik", w którym o dziwo znajdujemy takie ogłoszenie:

„Młoda przystojna inteligentna zajmie się gospodarstwem u starszego pana, najchętniej na plebanji. Kaucja do 500 zł. Zgłaszać się Redakcja 28".

Młoda, przystojna, u starszego pana na plebanji? A fe, braciszkowie...

* * *

Niedzielny numer I.K.C. w ogłoszeniach drobnych przynosi taki kwiatuszek:

„Każda kureczka ma kogucika — wężowa ma sobie węża, a ja szukam dobrego męża! Zgłoszenia do I. K. C. Kraków, Wielopole 1, pod „W siódmem niebie".

Bogiem a prawdę mówiąc, czy pani uważa, że kogucik i wąż to tosamo? W każdym razie, radzimy przed krokiem decydującym sprawdzić, czy kogucik ma dostatecznie giętkiego wężyka.

* * *

W tymże numerze I.K.C. znajdujemy inne ogłoszenie:

„Młody, mogący się podobać izraelita ożeni się za wyrobienie posady. — Zgłoszenia I. K. C. Kraków, Wielopole 1 — pod „24 lata".

No i czy endeki nie mają racji, że najbardziej sprzedajni są: żydy, masony i cykliści?

* * *

Zecerzy drukarni w której powstaje „Wiem Wszystko" za wszelką cenę starają się wyrobić nam opinję najbardziej pracowitego tygodnika w Polsce. W nr. 29 czytamy:

„Redakcja i administracja czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godziny 1-ej do 13-ej".

Dwanaście godzin na dobę... I to wszystko dlatego, żeby... wiedzieć wszystko!

Stary pies.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66
czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej
Konto w P. K. O. Nr. 15,581

Redaktor: **Henryk Sieciński.** Wydawca: **Włodzimierz Popławski**

Druk. „Kolumna" Warszawa, Nowy Świat 39